

NA FRONCIE TOTALITARNEGO PAŃSTWA

**O DZIENNIKARSTWIE I DZIENNIKARZACH W PEERELU
ZE SŁAWOMIREM CENCKIEWICZEM I DANIELEM WICENTYM
ROZMAWIA JAN M. RUMAN**

J.M.R. – Dziś zalicza się dziennikarstwo do zawodów zaufania społecznego. Niechętnie przypomina się, że spora część środowiska dziennikarskiego tkwi swym rodowodem w peerelu. Ci, którzy uganiają się codziennie za nową informacją, to zwykle młodzi ludzie niepamiętający już komunizmu, ale komentatorzy kreujący opinię publiczną swoje „doświadczenie” zdobywali na ogół w dawnych komunistycznych środkach przekazu. Jak to było w peerelu, czym wtedy było dziennikarstwo?



Fot. P. Życieński

S.C. – Służbę „na froncie” propagandowym państwa totalitarnego. Dziennikarz był nikim, partia wszystkim. To w gruncie rzeczy Wydziały Propagandy KC i KW PZPR decydowały, kto może być dziennikarzem i jakie stanowisko ma zajmować w strukturze redakcyjnej. W sprawach większej wagi dyktowano dziennikarzom nawet tezy, argumentację i wymowę artykułów. Przykładem mogą tu być znane mi dobrze z akt gdańskiej PZPR wytyczne dla konkretnych dziennikarzy pism i gdańskiego ośrodka RTV w sprawie wizyty Jana Pawła II w Trójmieście. Wiele gazet musiało drukować, jako swoje, artykuły przysłane przez organa władzy, w tym SB. Tu z kolei wskazałbym na sprawę śmierci Tadeusza Szczepańskiego – działacza WZZ Wybrzeża, o czym pisałem w zeszłym roku w „Biuletynie IPN”. Znalazłem dokument SB podpisany przez płk. Tadeusza Szczygła m.in.

w sprawie „obudowania” tej sprawy na łamach „Dziennika Bałtyckiego” w taki sposób, żeby ze Szczepańskiego zrobić pijaka, który zginął w wyniku własnej nieodpowiedzialności. Krótko potem w „Dzienniku Bałtyckim” ukazał się artykuł podpisany inicjałami „H.O.” pt. *Tragiczne skutki nietrzeźwości*. Ta tajemnicza nić łącząca partię, służby specjalne i dziennikarzy powinna być przez nas z całą precyzją badana. Dziennikarze PRL, szczególnie ci najbardziej znani i z ważniejszych gazet, to po prostu zastąpieni propagandyści, ludzie zaufania partyjnego i esbeckiego.

D.W. – Dziennikarstwo w czasie PRL należy rozpatrywać w szerszym kontekście całego systemu władzy komunistycznej. Oczywiście media nie odgrywały żadnej roli czwartej władzy. Były zaś ważnym elementem systemu władzy, podtrzymywały bowiem sytuację pozornej harmonii między interesem partii a interesami społeczeństwa. Powtarzam tu tezę z ciekawej książki Jerzego Drygalskiego i Jacka Kwaśniewskiego (*Nie)realny socjalizm*. Z tego względu ważniejsze od tego, co ukazywało się w peerelowskich mediach, było to, że pewne treści nie ukazywały się w ogóle. Chodziło więc przede wszystkim o zablokowanie artykulacji

tych informacji, które mogły naruszyć „harmonię” między partią a „masami”. Drygalski i Kwaśniewski mówią tu o „środkach masowego niekomunikowania”.

Kwestia zaufania publicznego do dziennikarzy jest w przypadku ery PRL sprawą bardziej złożoną. Istniały tytuły prasowe cieszące się względnym zaufaniem oraz takie, które postrzegane były jako instrumenty reżimu. Podobnie rzecz miała się z konkretnymi dziennikarzami. Przykładowo, dziennikarze obecni w czasie strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej wspominają scenę, w której robotnicy nie wpuścili na teren stoczni dziennikarki z gdańskiego oddziału telewizji, wypominając jej wcześniejsze reportaże w poetyce „spustu surówki”.



J.M.R. – Młodszym Czytelnikom warto przypomnieć, że przez kilkadziesiąt lat komunizmu nie było żadnej mowy o pluralizmie mediów. Główne tytuły prasy, radio i telewizja były w rękach „partyjno-rządowych”...

S.C. – Telewizja i radio były rządowe, czyli całkowicie podporządkowane komunistom. PZPR władała nakładami prasy w 95 procentach, bo Kościołowi oraz tzw. stronnictwom sojuszniczym – ZSL i SD – przyznano nieco tytułów. PZPR kontrolowała jednak 100 procent treści przez cenzurę, centralny przydział papieru i RSW – właściciela monopolistycznego kolportażu i drukarni prasowych. Właścicielem RSW w 95 procentach była PZPR, reszta „spółdzielni” należała m.in. do ZMS, ZHP, Ligi Kobiet. W efekcie każdy, kto kupił w kiosku jakąkolwiek gazetę czy inny towar (a w tym czasie kioski „Ruch” były największą siecią sklepową w Polsce), wzbogacał bezpośrednio KC PZPR. Wśród założycieli RSW znalazł się kwiat polskiego sowietyzmu, w pierwszej radzie nadzorczej zasiadali m.in. Jakub Berman, Edward Ochab i Eugeniusz Szyr. Historia RSW to w istocie dzieje dziennikarstwa i słowa pisanego w PRL, może dlatego już po 1990 r. rozkradziono archiwalia tej instytucji, gdzie m.in. przechowywano akta osobowe tysięcy dziennikarzy z całego kraju z opiniami na ich temat, własnoręcznymi życiorysami, decyzjami itd. Zupełnie odrębną sprawą jest „skok” na gigantyczny majątek RSW po 1989 r.

D.W. – Brak pluralizmu stanowił ważną część mechanizmu blokady artykulacji, o którym wspominałem wcześniej. Trzeba mieć świadomość, że osiągnięcie tego stanu rzeczy poprzedziły wieloletnie świadomie wprowadzane przez komunistów zmiany instytucjonalne. Mam tu na myśli m.in. stopniowe marginalizowanie tzw. prasy „Czytelnikowskiej”, dominację koncernu RSW, ujednoclanianie treści dzienników wydawanych przy Komitetach Wojewódzkich PZPR oraz podział czytelników na specjalne segmenty i odpowiednie preparationie treści dla poszczególnych segmentów.

J.M.R. – Były też ściśle kontrolowane, koncesjonowane pisma katolików (tzw. postępowych) i nieliczne pisma kościelne.

S.C. – W tej materii sytuacja ulegała zmianom. W okresie stalinowskim realizowano plan wydziedziczenia Kościoła, w tym z prawa do własnej prasy, nawet *stricte* teologicznej. Po 1956 r. chodziło już raczej o utrzymanie politycznej kontroli nad pismami katolickimi oraz

przydzielanie możliwości wydawniczych tym środowiskom, które z jednej strony często od wewnątrz kontestowały linię polityczną prymasa Wyszyńskiego, a z drugiej strony przychylnym okiem spoglądały na tendencje progresistowskie w Kościele zachodnim. Stąd też – począwszy od lat sześćdziesiątych, czyli u źródeł ery soborowego *aggiornamento* – doszło do pewnego paradoksu: pisma katolików świeckich, od paxowskiego „Słowa Powszechnego” po „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Więź”, akcentowały potrzebę „głębokich reform” w Kościele oraz współistnienia Kościoła i ateistycznego państwa. Stefan Kisielewski pisał w *Dziennikach*, że mają oni tylko jedno w głowie – „walkę z prymasem o reformę Kościoła” i dodawał trafnie: „za dobrze im się, kretynom, wiedzie”.

J.M.R. – Zapewne z dbałości o dobór kadr dziennikarzy kształcono na Wydziałach Dziennikarstwa i Nauk Politycznych...

S.C. – Doskonałość kadr oznaczała ich całkowite podporządkowanie się ideologii realnego socjalizmu i dyspozycyjność wobec wymogów taktyki PZPR. Do osiągnięcia tego celu nie wystarczały umiejętności zdobywane przez naukę na zwykłych wydziałach uniwersyteckich, potrzebne było szczególne szkolenie ideologiczne i, powiedzmy, pragmatyczne, żeby absolwent w pełni gwarantował wierność peerelowi, satelicie państwa sowieckiego. W efekcie trudno było liczyć, że dziennikarstwo będą kończyli na ogół ludzie o wybitnych cechach moralnych, czy w ogóle kompetencyjnych. Chodziło przecież nie o wyłanianie talentów, te mogą bowiem prowadzić do niezależności, ale uzyskanie „produktu” – dziennikarza potrafiącego bez zmruczenia oka kłamać i manipulować w służbie totalitaryzmu.

D.W. – Polityka kadrowa to kolejny element kontroli nad mediami. Początek swoistej socjalizacji wyznaczały studia, ale później była jeszcze potężna praca wykonywana przez maszynę PZPR. W grę wchodziły awanse, wyjazdy zagraniczne, dostęp do rzadkich dóbr, tak więc osoba, która w końcu obejmowała kierownicze stanowiska w redakcjach, prawdopodobnie była już beneficjentem systemu przywilejów, co jednocześnie wiązało się z podporządkowaniem systemowi kontroli.

O tym, w jak swoistej symbiozie z PZPR żyła pewna część dziennikarzy, niech świadczy fakt, że w czasie Sierpnia '80 w Gdańsku niektórzy dziennikarze „przyjezdni” (przede wszystkim z Warszawy) swoje pierwsze kroki kierowali nie do stoczni, ale do Komitetu Wojewódzkiego PZPR, traktując to jako rutynowe postępowanie.

J.M.R. – Większość dziennikarzy w PRL grzecznie uczestniczyła w komunistycznej propagandzie, autocenzura odbywała się w samych redakcjach. Mechanizmy autocenzury były w pewnym sensie wszczepione w mózgi. Ale nawet w największych tytułach była, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, spora grupa dziennikarzy, którzy nie chcieli bezwolnie poddawać się władzy. Stąd m.in. komuniści uznali, że w stanie wojennym konieczna jest weryfikacja.

S.C. – Jeżeli myśli pan np. o środowisku inicjatywy „Doświadczenie i Przyszłość”, to nie odbierając zasług wielu jego członkom, należy pamiętać, że otrzymało ono swoistą koncesję na dość ograniczoną szczerość. To środowisko działało w dominujących warunkach autocenzury, oficjalnie twierdząc, że przez proponowane reformy chce służyć umacnianiu budownictwa socjalistycznego. DiP nie był niebezpieczny dla władzy i w tym czasie nie było

żadnej potrzeby pacyfikacji. Weryfikacji dokonano po szesnastomiesięcznym „odmrażaniu” środków komunikacji społecznej. Wielu dziennikarzy w Sierpniu '80 przeżyło wstrząs moralny i nie chcieli dłużej kłamać. Bez dziesięciomilionowej „Solidarności” do tej zmiany by nie doszło. Ale wstrząs ten objął zdecydowaną mniejszość środowiska. Większość pozostała w zawodzie, a ubytki szybko uzupełniali nowi, znani nam bardziej już z aktywności w III RP.

D.W. – W kontekście autocenzury socjologowie posługują się koncepcją habitusu sformułowaną przez francuskiego socjologa Pierre’a Bourdieua. Habitus to wcielona norma pozwalająca gładko dostosowywać motywacje jednostki do wymogów otoczenia. W przypadku dziennikarzy chodziło m.in. o codzienne sytuacje, w których koledzy z pracy powtarzali w różnej formie zasadę „nie podskakuj, nie podskakuj, siedź na d... i przytakuj”. Przykładowo, Marek Barański w swojej książce *Tajemnice DTV* przypomina historię dotyczącą Grzegorza Woźniaka (nawiasem mówiąc, w tzw. raporcie WSI figuruje on jako współpracownik WSI ps. „Cezar”), który popadł w niełaskę, będąc na placówce waszyngtońskiej. Historia ta stała się później elementem swoistej dydaktyki w środowisku dziennikarzy telewizyjnych: „Zastanów się, co ci da manifestacja niezależności. Pamiętaj o Woźniaku”. Na podobne sytuacje wskazują wspomnienia dziennikarzy obecnych podczas Sierpnia '80 w Stoczni Gdańskiej. Dziennikarze ci mieli świadomość, że w czasie strajku żaden reportaż ze stoczni „nie przejdzie”. W tym sensie moralny wstrząs, o którym wspominał Sławek, rzeczywiście miał ograniczony zasięg.

Poza tym chodziło również o obawę przed utratą przywilejów płynących z odpowiedniego zachowywania się. Habitus podpowiadał, że nadmierny krytycyzm i przenikliwość nie popłacały. Cenzura wiążąca się z funkcjonowaniem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk była już „tylko” swoistym domknięciem systemu kontroli władzy nad dziennikarzami.

J.M.R. – **Z czym nie poradzono sobie przez staranny dobór kadr, próbowano sobie poradzić przez tajnych współpracowników, którzy mieli być uchem i okiem władzy w każdej redakcji. Czy można już szacunkowo powiedzieć, jaka była skala tego zjawiska w porównaniu z innymi środowiskami?**

S.C. – System sowiecki zasadzał się na braku zaufania, fakt obecności agentów w redakcjach nie oznaczał więc, że reszta dziennikarzy to sami biblijni Nikodemowie – niepodległościowcy, choć i tacy się przecież zdarzali. Tutaj dobrym przykładem jest redakcja „Polityki”, którą swego czasu Piotr Semka określił trafnie jako „poletko doświadczalne komunistycznej władzy”, gdzie jej naczelny „otrzymywał od kolejnych ekip *placet* na limitowaną bezkompromisowość i liberalizm”. Wydaje się, że w „Polityce” czołowym i sprawdzonym donosicielem był Kazimierz Koźniewski ps. „33”, który bez opamiętania nadawał na wszystkich, od funkcjonariuszy partyjnych w rodzaju redaktora Mieczysława F. Rakowskiego i Jerzego Urbana, poprzez tak lojalne pióra jak Barbara Pietkiewicz i Daniel Passent, aż po solidarnościowców w rodzaju Macieja Iłowieckiego i Marty Wesołowskiej. „33” potrafił opisywać w donosach nawet odprawy dziennikarskie w KC PZPR. W jednym z donosów z 1986 r. obnażył niechcący warsztat dziennikarski obowiązujący w PRL, opisał mianowicie Barbarę Pietkiewicz, która „autoryzowała” swój tekst o zomowcach u gen. Czesława Kiszczaka i funkcjonariuszy MSW.

J.M.R. – Jakie funkcje spełniała agentura w mediach?

S.C. – Żywych i myślących czujników bezpieczeństwa, czyli posłuszeństwa redakcji wobec potrzeb PZPR. Kontrola zewnętrzna (cenzura itd.) nie zawsze potrafiła wykryć jakieś nie dość wierne ideologicznie myśli czy uczucia, a TW – kolega czy koleżanka redakcyjna, dzięki kontaktom towarzyskim, docierał dużo głębiej i wcześniej do „ofiary” ewentualnych wątpliwości.

D.W. – W pewnym sensie zwerbowani dziennikarze wykonywali podobną pracę jak inni tajni współpracownicy. Chodziło o rozpracowywanie określonych środowisk i sprawowanie kontroli operacyjnej nad nimi (vide przypadek TW „33”). Niemniej jednak potencjalnie byli oni dużo cenniejszym nabytkiem niż „zwykli” TW z dwóch względów. Po pierwsze, rola zawodowa dziennikarza jest wyróżniona z tego powodu, że pozwala na niebudzącą podejrzliwości obecność w różnych miejscach, na ciekawość, na zadawanie pytań różnym ludziom. Po drugie, dziennikarz dysponuje ponadprzeciętnym kapitałem społecznym – wszystkimi bliższymi i dalszymi kontaktami, znajomościami, wejściami do różnych środowisk, zarówno własnymi, jak i „użyczonymi” przez zaprzyjaźnione osoby. Była to cecha pożądana przez SB.

Dziennikarze z racji swojego zawodu mogli też pełnić funkcję swoistego „agenta wpływu”. Funkcja taka dotyczy kreowania w obszarze opinii publicznej określonego obrazu osób, instytucji, środowisk, zdarzeń zgodnie z zamówieniem „cichego sponsora”, w tym przypadku SB. Wspominany już Barański opisuje sytuację, w której Sztab Bezpieczeństwa aranżowała fikcyjne nakrycie tajnej drukarni opozycji, a ekipa „Dziennika Telewizyjnego” przygotowywała materiał z takiej akcji i emitowała go.

Nawiasem mówiąc, dziennikarze w ogóle są cennym nabytkiem dla dowolnej służby specjalnej i praktyką wielu służb świata, zarówno z reżimów demokratycznych, jak i nie-demokratycznych, jest werbowanie dziennikarzy.

J.M.R. – Czy częsta także dziś tendencja – „nieważna rzeczywistość, ważne, jaką ją chcemy wykreować” nie jest jedną z pozostałości tamtych czasów?

S.C. – Tego rodzaju ucieczka od prawdy, od świadomości rzeczywistości, zwykle bywa objawem strachu. Czy obecnie ludzie z elit społecznych – dziennikarze są elitą – mają się czego bać? Zapewne mogą się obawiać utraty pracy, gdyby chcieli pracować zgodnie z własnymi przekonaniem i być obiektywnymi. To paradoks polskiej wolności, że gdy dziennikarz był wyrzucany w komunizmie, to w jego obronie stawała opinia publiczna. Teraz dziennikarze mają posłuszeństwo wpisane niejako do kontraktu i postrzega się to jako regułę wolnego rynku.

D.W. – Muszę zacząć od uwagi metodologicznej. Stoję na stanowisku mówiącym, że każdy opis świata zawiera w sobie element kreacji w tym chociażby sensie, że musi brać pod uwagę selekcję faktów. W tym kontekście każdy dziennikarz – czy piszący w PRL, czy współcześnie, posiada pewne filtry selekcyjne mnogość informacji. Oczywiście wybór tych czy innych faktów przekłada się na mniej lub bardziej świadome służeńie pewnym wartościom. Mówiąc bardzo ogólnie, w czasie PRL było to służeńie interesowi partii. Obecnie po dziennikarzach spodziewalibyśmy się służenia interesom społeczeństwa zgodnie z koncepcją

czwartej władzy, m.in. poprzez demaskowanie nadużyć władzy oraz inicjowanie pogłębionych debat dotyczących strukturalnych problemów społeczeństwa i państwa. Biorąc pod uwagę te dwa elementy, mam wątpliwości, czy w Polsce media współcześnie odpowiedzialnie pełnią funkcję czwartej władzy. Filtry, które świadomie czy nie, stosują współcześnie dziennikarze w Polsce, mają w dużej mierze charakter sympatii politycznych; rzecz dotyczy całego spektrum mediów. Trudno mi powiedzieć, jak dalece cecha ta jest pozostałością po PRL. Z pewnością można by się zastanowić, kto, w jaki sposób i z jakim skutkiem wprowadził do zawodu pokolenie dziennikarzy po roku 1989.

J.M.R. – W IPN realizowany jest obszerny projekt badawczy dotyczący środowisk dziennikarskich w PRL, kiedy można spodziewać się jego owoców?

D.W. – Jesienią 2008 r. IPN będzie organizował w ramach projektu ogólnopolską konferencję. Pod koniec przyszłego roku można się również spodziewać publikacji z opracowanymi materiałami źródłowymi dotyczącymi relacji między SB a środowiskami dziennikarskimi. Natomiast w 2009 r. IPN zamierza opublikować opracowania podsumowujące projekt.

J.M.R. – Poważny problem, ale pewnie na kolejną rozmowę, to agentura i jej wpływ na wydawnictwa podziemne. Sprawa to wyjątkowo bolesna, bo w odróżnieniu od pism reżimowych, wydawnictwa bezdebitowe cieszyły się dużym zaufaniem...

S.C. – Z chwilą pojawienia się „wolnej prasy” zasady kontroli rozszerzono również na prasę niezależną. Znamienne, że SB dążyła przede wszystkim do tzw. kontroli operacyjnej niezależnego ruchu, a w mniejszym stopniu do wpływu na treść publikacji. Z punktu widzenia służb to właśnie kontrola funduszy, sieci powiązań i kolportażu czy powielarni była o wiele bardziej opłacalna niż wpływ na taki czy inny materiał publicystyczny, co mogło grozić np. dekonspiracją osoby próbującej zdjąć taki tekst. Dobrym przykładem jest tutaj przywoływana często nie tylko postać Lesława Maleszki, ale także wieloletniego agenta Departamentu III MSW Pawła Miklasza, który posługiwał się m.in. pseudonimami „Jan Lewandowski” i „Rybak”. Od pewnego momentu był on szefem jednej z największych oficyn niezależnych – Wydawnictwa Konstytucji 3 maja, a później Wydawnictwa „Myśl”. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych SB usiłowała przez niego kontrolować m.in. środowiska prawnicy niepodległościowej z ROPCiO i RMP na terenie całego kraju.